Nelson S. Bond

Szaleństwo Lancelota Biggsa

(The Madness of Lancelot Biggs)

Fantastic Adventures, April 1940
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Dopiero co przeszliśmy na Lunar Trzy i właśnie odbierałem ostatnie instrukcje od Joe Marlowe'a, radiowca portu, kiedy panele mojego urządzenia pociemniały i nagle zorientowałem się, że patrzę na zwykły metalowy szmelc. Rzuciłem w związku z tym „Merdejo!", co w uniwersalnym jest dosyć brzydkim słowem i zacząłem szukać problemu. Wlazłem właśnie na czworaka pod blok audio, kiedy do mojej wieżyczki wkroczył kapitan Hanson.

Zapytał:

— Zgubiłeś coś, Sparks?

— Dwie minuty temu — odparłem. — Niech się pan rozejrzy. Jeśli zobaczy pan coś jasnego, czerwonego i całego pokrytego włochatymi kolcami, to proszę tego nie nadepnąć. To moja cierpliwość.

Stary westchnął.

— Gdyby moje problemy — oświadczył — były równie proste, jak twoje, wycinałbym hołubce przez całą drogę na Wenus. Sparks, masz jakiś egzemplarz Regulaminu Kosmicznego, nieprawdaż?

Kiwnąłem głową w stronę swojej szafki na książki; znalazł regulamin i uważnie zaczął go przeglądać. W końcu pokręcił głową.

— Nie ma tu tego — sposępniał. — Jesteś pewien, że to ostatnie wydanie?

— Po prostu, czego pan tam szuka? — spytałem go.

— Tak sobie pomyślałem — rzucił z nadzieją, — że musi przecież być jakiś artykuł, który daje dowódcy statku kosmicznego prawo do ugotowania swojego pierwszego oficera we wrzącym oleju, albo pocięcia go na malutkie kawałeczki i nakarmienia nim gromady ośmiornic. Ale te ględzące pierdoły, które napisały tę książkę…

I już wiedziałem. Ta sama, stara śpiewka. Nasz kościsty i niewiarygodnie wszechwiedzący przyjaciel, Lancelot Biggs, którego geniusz do wyciągania starego dobrego *Saturna* z najgorszych opresji nie dorównywał jedynie jego zdolności do doprowadzania kapitana Hansona do szału, znów wpadł w kłopoty.

Próbowałem udobruchać starego:

— Ale, na najsłodsze komety, panie kapitanie, co on znowu takiego zrobił? Nie miał przecież czasu, żeby zbyt wiele zmalować. Właśnie wyciągnęliśmy naszego Ampie[1] z ziemskiej warstwy Heaviside'a.

— Co — wycharczał stary — dało mu trzy godziny. Jest to wystarczająco dużo czasu dla pana Biggsa, aby można go było postawić przed sądem pod zarzutem ludobójstwa. Zniosłem wiele wyczynów tego długonogiego stracha na wróble. Wylądowałem przez niego na dywaniku za pogoń za platyną, o której nam nagadał. Niańczyłem piratów – o czym,

---

[1] Dziwaczne, pożerające energię stworzenie z Wenus, które służy jako tarcza ochronna dla statków kosmicznych przechodzących przez planetarne warstwy Heaviside'a (przyp. red.)

tak przy okazji, jeśli kiedykolwiek komuś piśniesz słowem, Sparks, to przerobię cię na siekane… i…

— A ponadto — przypomniałem mu — uratował pańskie paski kapitańskie przy co najmniej dwóch różnych okazjach. Nie wspominając o pańskich finansach i pańskim życiu. Pamięta pan?

— Tym niemniej — oznajmił sztywno stary, — tym razem posunął się za daleko. Rozbił słodkie oczy do mojej córki.

— Pańskiej — powtórzyłem powoli — córki!

— Widziałeś ją. Weszła na pokład w Porcie Long Island i leci na Wenus. — W tym momencie jego zahartowana przez kosmos, twarda twarz. Rozciągnęła się w uśmiechu, który roztopiłby lodowiec. — Nieźle wygląda, co? Niektórzy mówią, że jest podobna do mnie.

— Niektórzy ludzie — rzuciłem w oszołomieniu — powiedzą wszystko, dla śmiechu.

Myślałem o tej dziewczynie. Co za dziewczyna! Pięć i pół stopy śmietanki i atłasu, zwieńczonych włosami w kolorze marsjańskiego zachodu słońca. Oczy jak błękitna mgiełka nad Wenus, tyle że ożywiana słonecznym śmiechem. Pewnie, że przypominała starego! Mieli taką samą liczbę nóg i rąk; mieli po jednym nosie, po parze oczu i uszu – ale na tym mniej więcej podobieństwo się kończyło. Różnica między nimi była taka jak między starym rozklekotanym frachtowcem kosmicznym, takim jak *Saturn*, i nowoczesnym okrętem bojowym, o opływowych kształtach. I opływowe kształty, to wyjątkowo trafne określenie!

Stary kwaśno stwierdził:

— No cóż, zdejmij tę wniebowziętą minę ze swej gęby, Sparks. I wyślij na dół specjalną wiadomość ode mnie do pana Romeo Biggsa, bo jeśli ja spróbuję mu to osobiście powiedzieć, to mogę zapomnieć o elementarnej godności osobistej i dać mu takiego kopa, że poleci prosto w asteroidy. Powiedz mu, że następnym razem kiedy złapię go jak robi słodkie oczy do Diane, to dostanie ode mnie bilet w jedną stronę przez śluzę powietrzną. To wszystko!

I opuścił wieżyczkę, parskając. Patrzyłem za nim rozmarzonym spojrzeniem. I stwierdziłem, że robię coś, czego nie rozbiłem od czasu kiedy byłem dzieciakiem i dołączając swoje imię do imienia Diane Hanson i odliczając po literach. „Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba…”

Wyszło mi „lubi”. Mówiłem wam, że ja też mam swoje problemy…

Po chwili rozległy się odgłosy, jakby trzynogi pelikan szurał w łanie zboża, i do mojej wieżyczki dostojnie wmaszerował Lancelot Biggs, z jaśniejącymi oczyma oraz tym swoim niewiarygodnie wielkim jabłkiem Adama, podskakującym w górę i w dół, jak foton w cyklotronie. Wydawało się, że aż płonął chęcią podzielenia się ze mną sprawami swego przepełnionego serca, ale zamiast tego powiedział:

— Problemy, Sparks?

Rozumiecie już? To właśnie dlatego nic nie mogłem poradzić na to, że polubiłem tego gościa. Natychmiast jak tylko zobaczył, że grzebię w

aparacie radiowym, był gotów pomóc. Trudno sobie wyobrazić kogoś takiego jak Biggs. Czasami wydawało mi się, że to najgłupszy śmiertelnik, jaki kiedykolwiek skakał na gravach, ale zawsze w chwili kiedy byłem już gotów odesłać go do wariatkowa, on wystrzelał takim błyskiem geniuszu, że wręcz przygaszał Słońce, tak jakby świeciło w podczerwieni.

Odparłem mu ponuro:

— Chciałbym móc nie zbliżać się do radia bardziej niż trzeba przy porannej gimnastyce. Tym razem poszło w cholerę audio, a ja nie mogę nawet znaleźć, co mu u diabła dolega.

Stanął koło mnie i zaczął się przyglądać. Pociągnął za kilka przewodów, pstryknął paroma przełącznikami i udało mu się oprzeć się o przycisk na kablu linii zasilającej. W końcu stwierdził:

— Problem jest z anodą, co nie, Sparks?

— Tak wygląda. Ostygła i nie mogę wzbudzić w niej żadnego sygnału.

— Te anody, których używasz — zmarszczył brwi — zrobione są ze stopu selenu z aluminium, nieprawdaż?

— Zgadza się — potwierdziłem — co do joty. Ale tak powinno być. Są równie niezawodne, jak obiecują to dostawcy. Zawsze są gotowe do działania w mgnieniu oka, dokładnie kiedy ich najbardziej potrzeba.

— Tak właśnie mi się wydawało.

Biggs przemieścił swe niezgrabne długie ciało z jednej nogi na drugą, co było u niego oznaką głębokiego namysłu, którą widziałem już niejednokrotnie wcześniej. A po chwili nagle:

— Widzisz, Sparks — wyrzucił z siebie, — tak sobie myślałem nad tym problemem…

Pośpiesznie wstałem.

— Proszę posłuchać, panie Biggs, jeśli pan nad czymś zaczyna myśleć, to ja w tym miejscu wysiadam. Proszę mi nie mówić, bo złapię bakcyla i znów mnie to wciągnie po uszy. A ja jestem tylko zwykłym, ciężko pracującym operatorem radiowym…

— …i sądzę, że znam sposób — z zapałem ciągnął dalej, — aby zakończyć kwestie kłopotów z transmisją radiową w kosmosie. Używacie niewłaściwego metalu w anodach lamp nadawczych, na tym polega problem! Stopy selenu z aluminium nadawały się do radia we wczesnych latach rozwoju telewizji, ale loty kosmiczne wymagają bardziej wytrzymałych materiałów, które jednocześnie byłyby bardziej czułym receptorem.

— Jak co? — dopytywałem się. — Ogony komet, może?

— Jak uran — wyjaśnił prosto Biggs. — Tak jak ci mówiłem, wiele eksperymentowałem. I odkryłem, że uran, który nie jest już tak rzadki, ani taki drogi jak w czasach, kiedy wynalezione zostały anody lamp nadawczych, stanowi idealną anodę.

— Miło mi było — odparłem sarkastycznie — pana zobaczyć, panie Biggs. Każdy dzieciak w szkole wie, że za zdolność przewodzenia elektrycznego w metalach, odpowiadają elektrony swobodne. A w miarę jak liczba elektronów w atomie wzrasta, właściwości metaliczne są coraz gorsze. Metale stają się twardsze, bardziej kruche, bardziej podatne i pogarsza się ich przewodnictwo. Uran, proszę szanownego pana, byłby

tym, co my Zaśmiecacze Wszechświata określamy w naszym powszechnie stosowanym żargonie, pierwszorzędnym „gównem”.

Biggs lekko się zarumienił, a jego imponująca krtań podskoczyła w nierównym szarpnięciu. W oczach pojawił mu się cień krzywdy.

— Czy dałbyś się przekonać, gdybym ci pokazał?

— St. Louis — odparłem.

— Prze… przepraszam?

— Pochodzę stamtąd. Leży w stanie Missouri. — Ale obrzuciłem swój milczący aparat nadawczo-odbiorczy zdesperowanym spojrzeniem. — A jednak… to cholerstwo ciągle nie działa. Gdyby zechciał pan zaprezentować swoje nowe…

— Mam to w swojej kwaterze — oznajmił z zachwytem. — Zaraz po to pójdę! — I ruszył w stronę drzwi.

W tej samej chwili przypomniałem sobie, że mam dla niego wiadomość.

— Chwileczkę! — zawołałem za nim. — Właśnie sobie coś przypomniałem. Nasz ukochany kapitan zostawił u mnie dla pana list miłosny. Kazał mi panu powiedzieć, żeby pan ończyłskus odchodypus do jego órkicus.

Biggs zmarszczył brwi.

— To po łacinie? — zaryzykował.

— Świńska łacina[1] — wyjaśniłem mu — i zdrowy rozsądek. Hanson mówi, żeby wbił pan to sobie do głowy, co do jego córki, Diane. A jeśli jeszcze raz coś takiego zobaczy, przerobi pana na pasztet.

Twarz Biggsa wyglądała jak świąteczna kartka w kalendarzu. Widać było, że się powstrzymuje.

— Ale… ale, Sparks, ja lubię tę dziewczynę. I wydaje mi się, że ona lubi mnie.

— Będzie czciła pamięć po panu — powiedziałem mu otwarcie — jeśli nie posłucha pan rozkazów starego. Kiedy wygłaszał swój manifest, wyglądał naprawdę poważnie, a w oczach miał śmierć. Lepiej niech pan zrobi to co powiedział.

— Ale, to jest nie fair — zaprotestował Biggs. — Pomimo wszystko, jestem oficerem i…

— I dżentelmenem — dokończyłem ze zmęczeniem, — dzięki uprzejmości USSA. Taaa, wiem. Ale według mojej oceny, to działa przeciwko panu. Wie pan przecież, że stary nie ma zbyt wiele poważania dla was, absolwentów Pyskaczy. On zdobywał swoje wykształcenie w NRI, zanim w ogóle powstało coś takiego, jak Akademia.

Może dla tych z was, nowicjuszy z Ziemi, którzy właśnie włączyli się w naszą opowieść, powinienem to dokładniej wyjaśnić. Rywalizacja pomiędzy dwiema wielkimi szkołami astronawigacji, jest zjawiskiem, które

[1] Gra językowa oparta na specyficznych regułach przekręcania słów. Tutaj: wszystkie spółgłoski z początku wyrazu przeniesione zostały na jego koniec i dodałem końcówkę „us” (przyp. tłumacza).

można porównać tylko z tym, co działo się parę wieków temu, pomiędzy dwiema szkołami wojskowymi: USMA[1] i ISNA[2].

National Rocket Institute jest starszą uczelnią dla oficerów marynarki kosmicznej. Oryginalnie instytut zamierzony był do kształcenia kadr marynarki handlowej, stał się naturalnym „przyjaznym wrogiem” dla United States Spaceways Academy, kiedy ta instytucja została utworzona, czternaście lat później.

Dzisiaj, istnieje nieustanna przyjazna rywalizacja pomiędzy absolwentami obu szkół; kontrolowana i niezbyt intensywna, oczywiście, w rutynie codziennej pracy, ale rozbłyskająca bardzo konkretnymi uczuciami, co roku jesienią na Ziemi, kiedy obecne zespoły futbolowe obu akademii spotykały się w swej tradycyjnej walce na boisku.

Mówiono mi, że w dawnych czasach, żołnierze i żeglarze na całym świecie, zbierali się przy swych krótkofalowych radiach, aby wysłuchiwać transmisji z meczu Armia-Marynarka. No cóż, tak samo jest – tyle że jeszcze gorzej – współcześnie w kosmosie. Absolwenci NRI („Rakieciarze” jak ich nazywamy), oko w oko z „Pyskaczami” ze Spaceways Academy. Jest przy tym cała masa jęków, mnóstwo owacji i mnóstwo picia, a czasami zmienia się to wszystko w całkiem znacznych rozmiarów bijatykę na pięści. Na ogół kończy się tym, że przedstawiciele zwycięskiego zespołu urządzają ucztę, zaś absolwenci przegrywającej uczelni zaklinają się, że wygrają „Za rok!”.

Weźmy nasz statek, na przykład. *Saturna*. Ja zdobyłem swój patent na Akademii; podobnie Dick Todd, zastępca dowódcy, zaś Lancelot Biggs ukończył ją dopiero co, w zeszłym roku. Z drugiej strony, główny inżynier Garrity, uzyskał swe szlify w szkole Rakieciarzy, tak jak kapitan Hanson.

Co było kolejnym ważnym powodem, dla którego powinienem coś zrobić – i to naprawdę szybko – żeby doprowadzić radio *Saturna* do stanu używalności. Bowiem doroczny mecz Rakieciarze-Pyskacze miał być nadawany już tylko za dwa dni od dzisiaj, i mój skalp nie byłby wart nawet ceny tupeciku z drugiej ręki, gdyby ci dawni studenci obu szkół, nie mogli wysłuchać transmisji.

Biggs zapienił się i zaczął bełkotać, jak głośnik mojego odbiornika, oczywiście gdyby radio działało, co nie miało miejsca – zresztą rozumiecie o co mi chodzi.

— Nie mam w zwyczaju się skarżyć, Sparks. Ale kiedy kapitan Hanson usiłuje wejść pomiędzy Diane i mnie…

Zawołałem:

— A więc to tak! Panie Biggs, proszę przyjąć moje przeprosiny. Nie doceniłem pana. Czyli to już doszło do stanu „Diane”, nieprawdaż?

— To… to… — Biggs zająknął się i zamilkł. Potem powiedział, niemalże pokornie: — Sparks… potrafisz dochować tajemnicy?

— Jak kamień — odparłem mu.

— A więc, powiem ci. To nie pierwszy raz, kiedy Diane i ja się spotkaliśmy. My… znaliśmy się już, zanim znalazłem się na pokładzie

[1] Akademia wojskowa w West Point (przyp. tłumacza).
[2] Akademia marynarki wojennej w Annapolis (przyp. tłumacza).

Saturna. Prawdę mówiąc, ja specjalnie poprosiłem o tę robotę, abym mógł zdobyć przychylność jej ojca; tak byśmy mogli się pobrać.

To wyjaśniało wiele rzeczy. Często zastanawiałem się, dlaczego Lancelot Biggs, którego wuj Prendergast Biggs był wiceprezesem Korporacji, miałby wybrać na miejsce swej służby oficerskiej rozwalającego się, przestarzałego frachtowca Ziemia-Wenus, takiego jak *Saturn*. Teraz wszystko stało się jasne, i zacząłem czuć się jak prowadzący kącik złamanych serc w gazecie codziennej.

Spytałem:

— Czyli, wyrażając to w poetycki sposób, panie Biggs, stracił pan odrobinę głowę dla tej dziewczyny, co?

— Odrobinę? — stwierdził żałośnie. — Sparks, nawet nie zdajesz sobie sprawy.

— To pańska opinia — oznajmiłem, przypominając sobie jak to było z tym „lubi”, które mi wyszło.

— Co? — Potem zapomniał o swojej ciekawości, w wybuchu niezwykłego – jak na niego – rozdrażnienia. — Ale ja nie zostawię tego, tak na boku, Sparks. Pokażę staremu, że mam prawo kochać jego córkę. Nie obchodzi mnie, czy on jest absolwentem NRI, pokażę tej wyleniałej starej kosmicznej krowie…

— Czy może jakimś trafem — zaryczał czyjś głos — wspomina pan o *mnie*, panie Biggs?

Obaj aż podskoczyliśmy. W drzwiach kabiny stał stary.

Szybko rzuciłem:

— Wybaczcie mi, panowie! Muszę się zobaczyć z jednym gościem w sprawie mojej trumny! — i próbowałem prześlizgnąć się obok kapitana Hansona, by zniknąć bezpiecznie gdzieś w głębi pokładu, ale stary potężnym rykiem osadził mnie z przytupem w miejscu.

— Wracaj tutaj, Sparks! Potrzebuję cię jako świadka! — Odwrócił się do Biggsa, którego twarz wyglądała jak obracający się w snopie światła słonecznego pryzmat. — A więc! Czyli, ja niby jestem wyleniałą starą kosmiczną krową, *panie* Biggs?

Biggs wyjąkał:

— Ja…ja…j…

— *Co*! — Ryk Hansona zwiększył swą donośność o kolejny tuzin decybeli. — Ty impertynencki młody zarozumialcu! Słyszałeś, go, Sparks? On powiedział: „Aye, aye!”. No to, ja ci teraz pokażę…

Wyciągnął swoją sękatą dłoń.

— Pańską rakietę, proszę!

Wargi Lancelota Biggsa zadrżały. Wyciągnął rękę i mechanicznie odpiął ze miejsca nad swoją lewą piersią, małą, lśniącą, złotą odznakę w kształcie rakiety, która oznacza patent porucznika marynarki kosmicznej. Hanson schwycił ją. Władczym głosem oznajmił:

— Degraduję pana, Biggs, za niesubordynację, za zniesławienie wyższego stopniem oficera, za zachowanie niegodne oficera, z zamiarem

złośliwej obrazy, i… No cóż, na razie to wszystko. Być może później wymyślę jeszcze parę dodatkowych rzeczy.

— Proszę udać się do swojej kwatery, panie Biggs. I proszę się uważać za aresztowanego, do czasu kolejnej wiadomości.

Biggs zasalutował, obrócił się na pięcie i wymaszerował z pomieszczenia. Uderzyło mnie, zupełnie nagle, że w tej chwili w ruchach tyczkowatego młodzieńca, nie było niczego zabawnego, niczego humorystycznego. Och, kroczył dumnie, jak zwykle. A ja często żartowałem sobie, że wygląda jak krab na szczudłach. Teraz jednak czułem jakby mnie coś dławiło w gardle, kiedy widziałem patetyczną godność w linii jego ramion, dumny krok, jakim szedł przed siebie, nie rzucając do tyłu nawet jednym spojrzeniem.

Zdaje się, że na chwilę puściły mi odrobinę nerwy. W uszach zabrzmiał mi ostro mój własny głos, kiedy warknąłem do Hansona:

— No cóż, tym razem z pewnością nieźle mu pan zwalił na głowę!

Ale, ku mojemu zdumieniu, kapitan Hanson szeroko się uśmiechnął. Wyglądał jak Ampie w elektrowni. A potem powiedział uspokajająco:

— Och, daj spokój, Sparks! Chyba nie myślisz, że będę aż takim ludojadem?

— Zniszczył pan go — rzuciłem oskarżycielsko. — Zabrał mu pan jego rakietę i nałożył na niego areszt. Kiedy Korporacja się o tym dowie, to…

— Korporacja — odparł stary — w ogóle o tym nie usłyszy. Nie mam zamiaru wpisywać tego do dziennika. Sparks, to wszystko pozostanie między mną, tobą i Lancelotem Biggsem. Nie rozumiesz? Musiałem coś zrobić, żeby rozdzielić go z Diane.

Rozumiałem. I zdałem sobie sprawę, jak kompletnie ugrzęzłem pośrodku, z powodu mej przyjaźni z dwoma facetami, z których każdy wierzył w swe własne ideały, każdy uważał, że postępuje dobrze. Powiedziałem powoli:

— Rozumiem to, panie kapitanie. Ale, czy jest pan pewien, że dobrze pan robi? Pomimo wszystko, Biggs i pańska córka naprawdę mogą się lubić.

Kapitan Hanson odpowiedział poważnie:

— I tego właśnie się obawiam, Sparks. Postaw się na moim miejscu. Jak by ci się podobał pomysł, aby twój wnuk wyglądał jak Lancelot Biggs?

Nie wiem. Może w tym faktycznie coś było.

No cóż, żeby uczynić naszą krótką opowieść nieco dłuższą, to wszystko wydarzyło się pierwszego dnia po opuszczeniu portu kosmicznego Long Island. Tempus, jak mawiali starzy Rzymianie, nerwus. Podczas kolejnych dwu dni, spędziłem swoje robocze zmiany na próbach doprowadzenia tego mojego porąbanego urządzenia, do stanu używalności; zaś czas wolny od służby na kursowaniu w tą i z powrotem między mostkiem i aresztem.

Miałem przyjemność – i kurczę! pewnie sami lepiej wiecie, o co mi chodzi – spotkania Diane Hanson. Była dziewczyną, kością niezgody i

kłębkiem ufryzowanych włosów, ale gdyby tylko kiwnęła palcem, wyskoczyłbym przez śluzę kosmiczną i przyniósł jej całe naręcze galaktyk. Miała głos, który powodował, że czułem się jakby przez mój kręgosłup przepływało 0,30 ampera, a kiedy moje oczy napotkały jej spojrzenie, kolana mi się zupełnie trzęsły.

Jednak jej serce należało do siedzącego we więzieniu złoczyńcy. I nie obchodziło jej, kto o tym wie – poza starym. Spytała mnie:

— Sparks, czy on się dobrze czuje? Czy jest mu wygodnie?

— Całkiem wygodnie — odparłem. — Ale jest niespokojny, jak wiewiórka w skamieniałym lesie. Tak dużo krąży po swoim pomieszczeniu, że niedługo dostanie nie tylko odcisków, ale odcisków na odciskach.

Smutno powiedziała:

— Gdyby tylko tata zaczął się rozsądniej zachowywać. Sparks, czy sądzisz, że jeśli pójdę do niego i o wszystkim mu opowiem…

Zadrżałem.

— Proszę o tym nie wspominać! Ani nawet o tym nie myśleć! Pani stary mó… chciałem powiedzieć, że pani ojciec mógłby odczytać pani myśli. — Zmusiłem się do wesołego uśmiechu, a la Święty Mikołaj, ponieważ sam nie wierzyłem w to co miałem powiedzieć. — Głowa do góry, panno Diane. Lancelot znajdzie sposób, aby wydobyć się z tych kłopotów.

— Naprawdę? — spytała z nadzieją. — Myśli pan, że on tego dokona, Sparks?

— Zawsze mu się udawało — powiedziałem jej. Oddałem co cesarskie swemu czystemu sumieniu, mamrocząc pod nosem: — Zawsze, poza tym razem.

I tak w końcu znaleźliśmy się w trzynastu, w wieżyczce radiowej, tego brzemiennego dnia. Dwunastu z zebranych spoglądało na mnie groźnie, a ja – to ja byłem numerem trzynaście – pociłem się jak góra lodowa na Saharze. Ponieważ był to właśnie ten dzień, i już cholernie blisko godziny, Wielkiego Meczu na Ziemi – a moje radio ciągle było równie gadatliwe, jak głuchoniemy w próżni.

Był tam Todd, główny inżynier Garrity, trzeci oficer Wilson, Billings i – cholera! – wszyscy z nas, którzy studiowali na jednej z tych dwu akademii. No i, oczywiście, był też kapitan Hanson. Był – i to bardzo. Wywrzaskiwał mi w uszy straszliwe groźby, z których najłagodniejsza brzmiała, że jeżeli nie zreperuję radia w ciągu minuty, a może nawet szybciej, to on osobiście wytatuuje mi na czole słowo „łajdak”, przy pomocy nitownicy.

Wyskrzeczałem:

— Dobry Boże, robię, co tylko mogę! Czy nie sądzi pan, że ja również chciałbym wysłuchać transmisji meczu, tak samo jak pan? Może nawet bardziej. Przecież Pyskacze wybiją dzisiaj z głowy pańskim Rakieciarzom wszystkie głupoty, zobaczy pan.

Stary szalał.

— Co!

Ale spuścił sobie trochę pary spod czachy, ponieważ wiedział, że to prawda. Zespół Spaceways Academy był znacznie bardziej faworyzowany niż jedenastka NRI, będąc jak do tej pory niepokonany w czasie całego sezonu, podczas gdy Rakieciarze przegrali z Armią i Notre Dame, oraz zremisowali z Yale.

— I co z tego? Przecież w zeszłym roku…

— To — zadrwił z niego porucznik Dick Todd, szczerząc zęby w uśmiechu — było w zeszłym roku. Pobiliście nas wtedy, zgadza się. Ale w tym roku, to my wam uszyjemy buty.

— W każdym bądź razie — zawył stary — mój but wyląduje, sam wiesz gdzie, Sparks, jeśli nie zmusisz tego przeklętego radia do działania!

Wstałem od odbiornika i zdjąłem swoje gumowe rękawiczki.

— Zrobiłem wszystko, co potrafię. Dwukrotnie rozłożyłem to cholerstwo na części i złożyłem z powrotem. Nie działa – z jednego prostego powodu. Selenowo-aluminiowa anoda jest walnięta.

Główny inżynier Garrity zaproponował:

— No to wymień ją na nową, człowieku.

— W porządku. Zaraz jak tylko — odparłem mu — zadokujemy w porcie kosmicznym Sun City.

Stary wyglądał jakby go ktoś zbił na kwaśne jabłko i znalazł robaka.

— Chcesz powiedzieć, że nie będziemy mogli posłuchać tej transmisji?

— Dokładnie to chciałem wam… — I wtedy przerwałem. — Chwileczkę! Jest pewna niewielka możliwość, że nam się uda. Jeśli jego wynalazek naprawdę działa. Ma zapasową anodę w swojej kwaterze, ale będzie musiał ją zainstalować. Ja nie wiem jak.

— On? — wrzasnął stary. — Kto? Człowiek na księżycu?

— Człowiek w pierdlu — poprawiłem go. — Biggs.

— Biggs! — Wygląd starego nieco się zmienił. Teraz wyglądał jakby ktoś zbił go na kwaśne jabłko i znalazł tylko połowę robaka. Ale zwrócił się do Dicka Todda. — Proszę go sprowadzić, panie Todd — rozkazał.

Todd wyszedł. Wszyscy obserwowaliśmy zegar. Todd wrócił, prowadząc ze sobą Lancelota Biggsa, ex-więźnia. Stary ciskał gniewne spojrzenia na swojego pierwszego oficera.

— Usłyszałem o pańskim wynalazku, panie Biggs — oznajmił ironicznie. — Nie wierzę w to urządzenie. Może ono okazać się jeszcze jednym z poronionych pomysłów pańskiego mózgu. Ale nie ma teraz czasu na zbytnią wybredność. Proszę je podłączyć. I niech pan będzie na tyle uprzejmy, aby patrzeć na kontrolki radia, a nie na moją córkę!

Lancelot Biggs stał bardzo, bardzo milczący.

— No i! — zaryczał stary. — Do roboty!

Lancelot Biggs uśmiechnął się; delikatnie, niewyraźnie.

— Za — stwierdził — pewną cenę, panie kapitanie.

— Cenę! — Głos Hansona uniósł sufit co najmniej o cal. — Panie poruczniku, chyba nie próbuje się pan ze mną targować?

— Nie próbuję — poprawił Biggs, — ja się targuję. O cenę, za którą zamontuję w radiu mój nowy obwód anody. Później, w pełni gwarantuję jej działanie.

— Ty… ty bezczelny młody szczeniaku! — szalał stary. — Todd, Wilson, załóżcie mu kajdanki! Nie, stójcie, wy przeklęci głupcy! Zostawcie go! Jaka jest pańska cena, Biggs? Ale jej nie może pan dostać!

— Jej? — zapytał niewinnie Biggs. — Nie wiem, o czym pan mówi, panie kapitanie. Moją ceną jest… moja rakieta!

Kapitan Hanson popatrzył na twarze otaczających go w wyczekiwaniu absolwentów. Wiedział, kiedy znalazł się w kropce. Powiedział „No cóż…” i sięgnął do kieszeni.

Biggs przypiął niewielki złoty emblemat w miejscu które do niego należało, i nigdy nie widziałem człowieka wyglądającego bardziej dumnie. Potem spokojnie oświadczył:

— Doskonale, panowie. A teraz, Sparks, mógłbyś mi tu trochę pomóc…

Uranowa anoda, działała. Dwie minuty po tym, jak podłączyłem przewód z plusem, przez lampy zaczęły przelatywać tańczące światełka, galwanometr wesoło podskoczył, a napięcie ponownie zabuczało w urządzeniu. Wykrzyknąłem:

— Biggs, jest pan fenomenalny!

Sięgnąłem do potencjometru dokładnego dostrajania, ale dłoń Biggsa powstrzymała moją.

— Nie tu, Sparks! Wyżej. Na falach ultrakrótkich, jak mi się wydaje. Około jednej pięćdziesięciotysięcznej na skali dokładnego strojenia.

Kapitan Hansen wychrypiał przejęty:

— Panie Biggs, Sparks wie jak obsługiwać radio, bez pańskiej pomocy!

— Nie, *to* radio — wzruszył ramionami patykowaty porucznik. — Ta anoda znacznie się różni od starego typu. Bardzo znacznie!

Wydawało mi się, że wychwyciłem leciutką nutę rozbawienia w jego głosie, ale ta myśl zniknęła równie szybko jak się pojawiła – ponieważ moje palce znalazły właściwe miejsce. Nastąpiła chwila jęku super-heterodyn, a potem…

— …wspaniały dzień, wielkie tłumy, proszę państwa! — usłyszeliśmy pełen ekscytacji głos. — I oto, mamy kolejne zagranie. Pyskacze ustawili piłkę na swojej linii osiemnastego jarda, jedenaście sekund do rozpoczęcia akcji…

— To jest to! — zagrzmiał gromko kapitan Hanson. — Na miłość Boską, to jest to! Biggs, może nie jest pan takim bęcwałem, za jakiego pana uważałem!

Ale to nie był jeszcze koniec wstrząsających wydarzeń. Pamiętacie, jak wam mówiłem, że Pyskacze byli murowanymi faworytami, żeby spuścić Rakieciarzom lanie? No cóż – ewidentnie był to kolejny przykład na to, że w takich tradycyjnych rywalizacjach wszystko może się zdarzyć – i zazwyczaj tak to jest!

Zaledwie pięć minut po włączeniu radia, Rakieciarze zablokowali kopnięcie Pyskaczy, nacisnęli i przejęli piłkę na linii dziewięciu jardów swoich rywali. Po dwukrotnym zdobyciu przewagi liczebnej na atakowanym odcinku, jedenastka z akademii kapitana Hansona przebiła

się i zdobyła przyłożenie. W chwilę później wykonali podwyższenie i wynik brzmiał 7-0 dla przypuszczalnie skazanych na pożarcie.

Twarze zebranych w pomieszczeniu, przedstawiały niezły widok! Hanson i Garrity, wyglądali jak wenusjańscy króliko-ludzie w zagonie marchewki; my zaś, którzy uznawaliśmy za naszą Alma Mamusię Akademię, mieliśmy uśmiechy jakby po zjedzeniu paru cytryn. Jednak wyraz twarzy Lancelota Biggsa, nie zgadzał się z tym opisem. Wyglądał jakby troszeczkę zaskoczony, troszeczkę zadowolony, tak jak człowiek nasłuchujący echa swoich okrzyków odbitych od górskiego zbocza.

Kapitan Hanson zaczął grzebać ręką w kieszeni spodni i wyciągnął solidny zwitek ziemsko-wenusjańskich kredytów.

— No i co, wy zakichani Pyskacze – czy którykolwiek z was postawi parę kredytów na to że wasz zespół wróci jeszcze do gry?

Miał mnóstwo chętnych. Pomimo wszystko, jedno przyłożenie w futbolu, to jeszcze nie wygrany mecz, a Pyskacze *byli* faworytami do zwycięstwa. Ja szarpnąłem się na kwotę trzydziestu kredytów, Todd też parę postawił. Garrity otworzył swój antyczny, przeżuty przez mole portfel, i zaryzykował parę własnych kredytów, domagając się szansy trzy do jednego.

A mecz toczył się dalej.

Pierwsza kwarta zakończyła się, zaskakująco, prowadzeniem Rakieciarzy ciągle wynikiem 7-0. W drugiej kwarcie, kapitan Hanson, zalewając nas ciągle potokiem „a nie mówiłem wam", zwrócił się do Lancelota Biggsa, szyderczo piejąc:

— No i co, panie Biggs, jakoś mi się wydaje, że pieczołowicie pan unika wszystkich zakładów, na ten pański zespół?

Biggs, którego oczy przez cały czas wbite były zachłannie w siedzącą w pomieszczeniu dziewczynę – domyślcie się, którą! – przełknął ślinę i jego wbudowana w szyję winda przemieściła się w górę i w dół. Powiedział, niemal z zażenowaniem:

— Ja… nie wiem, czy powinienem, panie kapitanie…

Hanson parsknął.

— Tego właśnie można było się spodziewać po Pyskaczu. No cóż…

W tej samej chwili uciszył go nagle Garrity:

— Ćśśś, szefie! Coś się dzieje!

I rzeczywiście, coś się działo. Sprawozdawca w radiu dostawał spazmów.

— … i to wygląda źle dla Pyskaczy, proszę państwa! Szybkie kopnięcie Rakieciarzy zepchnęło ich na linię jednego jarda… teraz ustawiają się, żeby wydobyć się z kłopotów… Chwileczkę! Z ławki Pyskaczy wchodzi rezerwowy. To… nie mamy czasu, aby uzyskać dla państwa jego nazwisko, ale ma numer 36. Wchodzi na pozycję rozgrywającego, za O'Doule'a…

Hanson naciskał:

— No i co, Biggs?

Komentator ciągnął dalej:

— Numer 36 wszedł na pozycję rozgrywającego, proszę państwa. Teraz wykrzykuje jakieś sygnały. Nagła zmiana planów. Nowy zawodnik

podchodzi do kopnięcia… Nie, będzie podawał… Nie, zaczyna biec… Nie – on wypuścił piłkę!

— Tuż za słupami bramki utworzył się kłąb zawodników! Sędziowie rozdzielają ich. I… to jest przyłożenie dla Rakieciarzy, proszę państwa! Wynik brzmi 13-0!

Hanson wydał potężny ryk zachwytu.

— Jeeest! Wiedziałem to! Dobrze pan zrobił, że nie chciał pan się założyć, Biggs!

Wtedy jednak, zadziwiająco, odezwał się Lancelot Biggs.

— Ile chciałby pan postawić, panie kapitanie?

— I…le? — Hanson wyglądał na oszołomionego. — Każdy kredyt, jaki mam w kieszeni, panie poruczniku. Dwieście pięćdziesiąt.

— Przyjmuję pański zakład — oznajmił Biggs.

Doskoczyłem mu do boku i dałem mu szybkiego kuksańca w żebra. Wysyczałem do ucha:

— Niech pan nie będzie głupi, Biggs! Jeśli już musi się pan zakładać, niech on panu da wyrównanie szans…

Ale było za późno. Zakład znalazł się już w rękach strony neutralnej, stewarda Douga Enderby. Teraz, z nową falą napięcia, jaka w nas wezbrała, zaczęliśmy przysłuchiwać się dalszemu ciągowi transmisji.

W trzeciej kwarcie, Dick Todd wyciągnął chusteczkę do ocierania łez.

— Jezu, Sparks — wyszlochał do mnie, — co się dzieje z naszymi chłopakami? To przecież masakra. Tak samo, jak w zeszłym roku.

Mówił tak, ponieważ do tego czasu Rakieciarze ponownie zdobyli punkty, tym razem gładkim sześćdziesięciojardowym atakiem. Garrity i Hanson dosłownie padali z radości, teraz już oferując fantastyczny stosunek szans każdemu Pyskaczowi, który chciałby się założyć. Ale wszyscy wzięliśmy sobie na wstrzymanie. To jest, wszyscy, poza jednym człowiekiem – pierwszym oficerem Lancelotem Biggsem.

W chwili spokoju, zwrócił się do starego:

— Panie kapitanie — oznajmił, — nie mam już więcej kredytów, ale chciałbym zaryzykować inną stawkę.

Hanson zachichotał:

— Pańska koszula nie będzie na mnie pasować, panie Biggs.

— Założę się z panem — z namysłem powiedział Biggs, — o moją działkę kosmiczną, przeciwko przywilejowi trzech następnych lądowań, że Pyskacze pokonają tego roku Rakieciarzy.

Wszyscy aż sapnęli. To były *prawdziwe* stawki. Każdy oficer nagradzany jest przez IPS przyznaniem mu roszczenia obejmującego prawa własności do wszystkich niewykorzystywanych obszarów danego łuku na powierzchni planety. Może on albo sam wykorzystywać ten sektor, albo powierzyć eksplorację profesjonalnym kosmicznym firmom poszukiwawczym. W obydwu przypadkach, znaczący odsetek wszystkich rud, kamieni szlachetnych i innych minerałów znalezionych w tym wyznaczonym sektorze, należy do niego. Wielu oficerów marynarki

kosmicznej, w ciągu jednej nocy zdobyło fantastyczne bogactwo, kiedy w ich sektorze znaleziono odłamki skał diamentowych, czy granule meteorytowej rudy.

Z drugiej strony, Biggs także prosił o wielki przywilej. Zanim oficer marynarki kosmicznej będzie mógł zostać dowódcą, musi osobiście wykonać pięć lądowań w portach na dowolnej z planet. Kapitanowie bardzo ostrożnie wydawali na nie pozwolenia, często każąc młodszym oficerom czekać latami na zdobycie swego patentu kapitańskiego.

Wyglądało to, jednak, jakby Biggs ponownie lekkomyślnie nadstawiał karku. Próbowałem go powstrzymać.

— Nie, panie Biggs. Ten mecz wpadł już w ręce Rakieciarzy. Proszę się tak nie napalać!

Ale zaledwie połowa tych słów zdążyła przejść mi przez gardło, kiedy kapitan Hanson gromko wykrzyknął:

— Przyjęte! Panowie, biorę was za świadków tego zakładu!

I zatarł swoje ogromne łapska, jak szop pracz na widok kubka miodu.

Dwadzieścia do zera! Taki był wtedy wynik, i tak samo brzmiał on piętnaście minut później, kiedy zaledwie siedem kolejnych minut zostało do zakończenia dorocznej awantury. Lancelot Biggs sposępniał, spoglądając szalonym wzrokiem.

A teraz jeszcze kapitan Hanson miał swój udział w tym szaleństwie. Muszę przyznać, że jego radość irytowała mnie. Potrafię znieść, kiedy ktoś mi dokłada, tak jak każdy inny człowiek, ale cholernie nie lubię, jeśli ten ktoś przy tym się cieszy. A tak właśnie robił stary. W miarę jak upływały kolejne minuty, i przewaga Rakieciarzy stawała się chwilami przytłaczająca, najpierw szydził z nas, Pyskaczy, potem obrażał nas, oferując ośmieszające szanse przeciwko naszemu zwycięstwu, a w końcu oskarżył nas wszystkich o brak sportowego ducha.

Biggs, uważnie trzymający się z daleka od Diane, tak aby nie wzbudzać uśpionego gniewu starego, dostał dziwnie bladych policzków. A może wcale nie tak dziwnie. To trudno stać spokojnie i obserwować jak wszystko co masz wyślizguje ci się z rąk.

Kapitan w żaden sposób mu tego nie ułatwiał. Co chwila stary pochylał się, walił się po udach i wrzeszczał:

— Czy ma pan może coś więcej, co mógłby pan postawić, panie Biggs? Jaka szkoda! Jestem starym kosmicznym wyjadaczem i to jeszcze nie jest najlepsza zabawa, jaką miałem!

W końcu, w pewnej chwili Lancelot Biggs wyrwał się ze swego osobliwego otępienia. Oznajmił:

— Tak, panie kapitanie. Mam jeszcze coś, co mógłbym postawić!

Nawet Hanson zawahał się na coś takiego.

— Tak? — była to chyba jego najbardziej zirytowana odpowiedź.

— Czy… — W oczach Biggsa pojawił się wyraz rozmarzenia. — Czy byłby pan taki uprzejmy i wyszedł ze mną na korytarz? To znaczy pan i Sparks, jeśli można prosić.

Dobry, stary Sparks; świadek na zawołanie. Nie myślcie jednak, że sprawiało mi jakąkolwiek przyjemność, to robienie za świadka czystego szaleństwa. Kiedy znaleźliśmy się za drzwiami, z dala od przypatrującego się tłumu, zacząłem błagać Biggsa.

— Biggs, na miłość Boską – czy nie dość już pan stracił? Niech pan nie zakłada się więcej!

Ale spojrzenie jakie mi rzucił, było odrobinę tajemnicze. I wyszeptał szybko:

— Sparks, wszystko w porządku. Wiem, co robię…

Potem w drugą stronę, do kapitana.

— Kapitanie Hanson, została mi na świecie jeszcze tylko jedna rzecz, która ma jakąś potencjalną wartość. Prawa patentowe do mojego nowego wynalazku, użyteczności którego był pan świadkiem przez całe popołudnie. Chodzi o uranową anodę do systemów audio. To będzie mój wkład w stawkę zakładu.

Hanson stwierdził podejrzliwie:

— No, nie wiem…

A potem do mnie:

— Sparks, czy to jest cokolwiek warte?

Przytaknąłem poważnie.

— Według mojej oceny — odparłem mu — to jest warte co najmniej ćwierć miliona kredytów. To pierwsza anoda jaką widzę, która naprawdę działa. Czy zauważył pan, że nie odbieramy nawet żadnych zakłóceń?

Stary skinął głową.

— No, dobrze. A moja stawka…?

Biggs oznajmił śmiało:

— Pozwolenie na widywanie się z pańską córką. A… jeżeli ona mnie zechce… na poślubienie jej!

Coś jakby gruchnęło i przez chwilę miałem wrażenie, że to eksplodował stary, ale to był jedynie czubek jego głowy, który wyleciał na dwie stopy do góry.

— *Co*! Myślałem, że pan zrozumiał… — Wtedy jednak na jego wargach pojawił się chytry uśmieszek. — Chwileczkę — powiedział przebiegle, — przyjmuję również, że jeżeli pan przegra, to nigdy więcej nie zobaczy pan się już z Diane?

Miałem ochotę wrzasnąć: „Nie!” tak rozpaczliwie, jak to wszystko pachniało. Ale ja byłem tutaj tylko stroną trzecią. Odpowiedź Biggsa była dokładnie odwrotna.

— Tak — oświadczył.

Jęknąłem. Marzenie o miłości młodego człowieka – dwadzieścia punktów do tyłu!

Przejdźmy już jak najszybciej przez te męczarnie. Wróciliśmy do kabiny pełnej szalejących ludzi. Podczas naszej nieobecności Rakieciarze przejęli rozpaczliwe podanie Pyskaczy, i wynik wynosił już 26-0. Tylko jeden punkt mniej od tego pamiętnego lania, jakie spuścili chłopcom z

USSA w zeszłym roku. I ponuro wysłuchaliśmy, jak kopnięciem zdobywają ten dodatkowy punkt.

I to było już mniej więcej wszystko. Ponieważ trzy zagrania po tym ostatnim wykopie huknęło działo, tłum wrzasnął, a sprawozdawca zawył:

— … i to już koniec meczu, proszę państwa! Rakieciarze wygrali to wspaniałe spotkanie 27-0. Słuchaliście tego programu dzięki Hornswimble Robot Corporation, wytwórców sławnych na całym świecie „Milczących Służących". Po co żyć samotnie? Robot w domu, to stałe towarzystwo…

Garrity wywrzeszczał swoją najwyższą radość. Jego pięści przelatywały symultanicznie pod spuszczonymi na kwintę nosami trzech Pyskaczy – włączając mnie.

— Płacić! — domagał się. — Płacić, wy ciemne tumany!

A kapitan Hanson zmienił się w jeden wielki uśmiech na nogach. Oznajmił tryumfalnie Biggsowi.

— No cóż, panie Biggs, mam nadzieję, że zapamięta pan sobie dzisiejszą lekcję! Dwieście pięćdziesiąt kredytów, jeśli będzie pan taki miły. Będę dla pana dobry i nie przyjmę pańskiej działki kosmicznej, mój drogi. Ale ten trzeci zakład… — Rozpromieniony odwrócił się do Diane. — Ten obowiązuje również i ciebie! A teraz…

Biggs ruszył. Do odbiornika radiowego. A idąc odezwał się:

— Tak. A teraz — oznajmił, — wydaje mi się, że powinien pan posłuchać *tego*…

Przekręcił potencjometr. Przez chwilę słychać było wycie, a następnie rozległ się głos, czysty, ostry, rozemocjonowany:

— … zostało cztery minuty czasu gry, proszę państwa, i Rakieciarze mają piłkę. Ale to już nic im nie da. Nawet jeśli zdobędą punkty, nie zmieni to zwycięzcy meczu. Nie dadzą już rady odrobić tego ogromnego prowadzenia Pyskaczy 33-6…

Grom z jasnego nieba; szaleństwo i zamieszanie! W kabinie zapanowała taka cisza, jak w nieźle zaludnionym grobowcu, i w tej strasznej ciszy rozległ się słaby, cichy głos starego, dopytujący się:

— Co… co to ma znaczyć?

Biggs zahuczał uprzejmie.

— To znaczy, panie kapitanie, że przegrał pan swoje stawki. Pamięta pan chyba, że wszystkie pańskie zakłady dotyczyły wyniku *tegorocznego* meczu – transmisji którego właśnie w tej chwili słuchamy. To bardzo niefortunne, że pamięć ludzka jest tak ułomna. W przeciwnym razie, przynajmniej niektórzy z panów mogliby zauważyć zdumiewające podobieństwo transmisji, której wysłuchaliśmy niedawno do meczu z zeszłego roku! Ponieważ tego ona właśnie dotyczyła!

Kapitan Hanson jęknął.

— Zeszłoroczny mecz! Ale, to przecież niemożliwe! Nie mógłby pan…

— Ja bym nie mógł — uprzejmie zgodził się z nim Biggs, — ale mój nowy wynalazek tak. Widzi pan, odkryłem podczas swoich eksperymentów, że uran ma pewne określone, szczególne cechy osobliwe.

Ponieważ sam jest pierwiastkiem wysoce radioaktywnym, posiada dziwną właściwość opóźniania, niemalże na nieskończenie długi czas, przechodzenia impulsów elektrycznych, przez niego przesyłanych.

— I w ten sposób, w pewnych okolicznościach – w tym przypadku, Sparks, chodzi o aktywowanie na zakresie fal ultrakrótkich – może on zostać użyty jako pułapka czasowa na głos, do ponownego wychwycenia fal dźwiękowych wysłanych w eter dawno temu. Kiedy naukowcy na Ziemi dokładniej zbadają ten fenomen, przewiduję zadziwiające rezultaty. Być może już niedługo będziemy mogli jeszcze raz „usłyszeć" głosy naszych przodków, żyjących w dawnych czasach, w Epoce Elżbietańskiej, Epoce Maszyn lub też w Epoce Amerykańskiego Biznesu. Ale na razie… — Przyjaźnie się uśmiechnął. — Na razie, wysłuchaliście panowie przed chwilą transmisji zeszłorocznego meczu futbolowego Rakieciarze-Pyskacze. Tegoroczny, właśnie się kończy!

I tak też było. Z wynikiem 33-6 dla Pyskaczy. Straszliwe wrzaski głównego inżyniera Garrity'ego, będą mnie prześladować do końca moich dni…

Po pewnym czasie, pozostaliśmy we wieżyczce tylko we czworo. Biggs, Diane, kapitan i ja. Stary miał wygląd bernardyna, który właśnie zgubił swoją beczułkę z brandy.

— Ale, niech pana diabli, Biggs, chyba nie ma pan zamiaru trzymać mnie za słowo, co do tych zakładów, co? Kiedy wiedział pan przez cały czas…

Briggs wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Był pan bardzo wspaniałomyślny wobec mnie, szefie. Ja również tak postąpię względem pana. Proszę sobie zatrzymać swoje pieniądze. Zgadzam się również na dwa lądowania. Ale ten trzeci zakład – no cóż, zna pan przecież to stare powiedzenie.

— Znam — wyjęczał kapitan — całe ich mnóstwo. O które panu chodzi?

— Wszystkie chwyty są dozwolone, w miłości i… A, lepiej zostawmy tę drugą część. Diane, kochanie…

Jedno trzeba powiedzieć o kapitanie; wiedział kiedy przegrał. Zmusił się do uśmiechu na twarzy – i wiecie, kiedy zobaczył blask w oczach Diane, która wpadła w objęcia ramion Biggsa, ten uśmiech zaczął wyglądać niemalże naturalnie. Rzucił mi wymowny sygnał, i zaczęliśmy zmierzać w stronę wyjścia. Ale ja miałem jeszcze jedno pytanie. W drzwiach odwróciłem się i spytałem:

— Biggs, niech pan będzie uczciwy! Nie wiedział pan, że to urządzenie będzie działać w taki właśnie sposób, co?

Łagodnie zmarszczył brwi.

— Nie *wiedziałem*. Podejrzewałem.

— Ale kiedy — naciskałem — zyskał pan naprawdę pewność co do tego? Pańska pamięć nie jest lepsza od mojej. Bez wątpienia nie pamięta pan przecież szczegółowo wydarzeń z zeszłorocznego meczu.

— Niektóre z nich… — odparł z rozbawieniem. — Byłem pewien, kiedy usłyszałem tę kwestię o niezdarnym rozgrywającym, tym zmienniku z numerem 36. Pamiętasz?

— Pamiętam! No pewnie, że tak. To ten niezdarny gamoń, który upuścił piłkę na końcu strefy i zafundował Rakieciarzom przyłożenie. Powinien zostać wypatroszony i poćwiartowany, kretyn jeden. Ale jakim sposobem zapamiętał pan właśnie *jego*?

Uśmiechnął się niewyraźnie.

— Sparks, przecież opuściłem progi Akademii właśnie w zeszłym roku — powiedział. — I zespół futbolowy także. To *ja* byłem numerem 36!

Potem odwrócił się do Diane, a ona odwróciła się do niego… A niech to diabli! Wiem, kiedy moja obecność jest niepożądana!

KONIEC